

# ĆWIEK

JAKUB



TOPIEL

MARGINESY



## LUŻNA KARTKA

Usłyszała to w jego głosie, przez telefon. Pośród szumów i trzasków, mimo gwaru. Gdy powiedział, że już się zbiera i będzie w domu do godziny.

Gdy tylko się rozłączył, zadzwoniła do siostry i zapytała, czy ta może wpaść po dzieci. W ciągu godziny. Nie, nic się nie stało, po prostu zamierzają gdzieś z Hubertem wyskoczyć po jego powrocie z pracy i nie mogą wziąć ze sobą dzieci.

Musiała tylko usmażyć kotlety i ugotować ziemniaki. Nie chciała tego robić za wcześnie, teraz jednak ustawiła sobie minutnik. Starła blaty, wymyła podłogę, a potem przejechała po niej suchą szmatą, zbierając wodę.

Gdy kwadrans później Kinga zjawiła się po dzieci i zadzwoniła domofonem, wysłała je na dół, bez zapraszania siostry. Dwie godziny, powiedziała. Tyle potrzebujemy. Dzięki kochanie, nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

Liczyła, że te dwie godziny rzeczywiście wystarczą, ale z jakiegoś powodu miała wątpliwości. Bo dziś... dziś brzmiał tak jak jeszcze chyba nigdy. Brzmiał tak, że się przestraszyła. Że gdyby mogła, wyszłaby teraz z domu i wróciła wieczorem. Wiedziała jednak, że nie może go z tym zostawić, bo nie tak się umówili ostatnim razem.

Zadzwonił minutnik, nastawiła ziemniaki, zrobiła sałatkę, usmażyła kotlety. Zdejmowała je właśnie z patelni, gdy wszedł do domu.

Usłyszała, jak włączył światło w toalecie, potem spuścił wodę, wyłączył, a ona zdała sobie sprawę, że odruchowo wstrzymała oddech. Bo nagle dotarło do niej, że wie, co się stało. Że choć nigdy nie nauczył się zostawiać tak naprawdę pracy za drzwiami, tylko jedno mogło go tak mocno ruszyć. Coś, na co przeczuleni byli oboje od czasu... No, od wtedy.

Wszedł do kuchni. Wciąż miał na sobie mundur polowy, z podwiniętymi mokrymi nogawkami, który nosił codziennie, odkąd głównym zadaniem nyskiej policji, jak i wszystkich służb mundurowych w regionie, stała się walka ze skutkami powodzi. Spod rozpiętej bluzy wyłonił się prążkowany podkoszulek, teraz cały w zaschniętym błocie. Ale przynajmniej tym razem nie był tak przemoczony jak przedwczoraj. Kiedy po czterech dniach ulewy wszyscy się bali, że czeka ich druga tura tego syfu.

Wyglądał na zmęczonego i sfrustrowanego, ciągnął ostatkiem sił. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione, opuchnięte. Dostrzegła też odrapania na knykciach lewej dłoni.

– To ten dzieciak, prawda? Ten z Głuchołaz? Znaleźliście ciało?

Skinął głową.

– Wezwali nas dzisiaj ci Ukraińcy, co udrażniają rzekę.

– Znaczą rzeczywiście był w rzece?

Ponowne skinienie. Chciał się odezwać, ale drgnęła mu grdyka. Chrząknął.

– Gdzie dzieci? – zapytał.

– Z Kingą, wróć za godzinę. – Wzięła talerze i postawiła jeden przed nim, drugi przed sobą.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem, czy będę w stanie to zjeść – powiedział i zaraz mina mu zrzędła. – Nie wiem, czy cokolwiek przełknę. Jezu, ciało po takim czasie w wodzie to już w ogóle nie ciało. Jakby

je z balonów zrobić. Sinych, oślizgłych... Gdy próbowali go odczepić, on się rozpadł, rozlazł...

Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Położyła rękę na jego dłoni i tak siedzieli w milczeniu.

– Przepraszam, nie powinienem ci tego mówić – odezwał się w końcu.

– Daj spokój – odparła. – Jesteśmy w tym razem, pamiętasz? Tak się umówiliśmy. Nastawię ci gorącą kąpiel, co ty na to?

Nie odpowiedział, a do niej dotarła absurdalność tego pomysłu. Woda zwalczana wodą to jak ogień benzyną. Przemknęło jej przez głowę, że źle zrobiła, odsyłając dzieci. Powinien je teraz zobaczyć, ona też powinna, by wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Zawsze gdy umiera dziecko, inni rodzice powinni spojrzeć na swoje i odetchnąć z ulgą. A potem pomyślała o rodzicach tego chłopca, kimkolwiek byli. O dwóch tygodniach niepewności podsycanej nadzieją. Myślała o tym, czy stracili dobytek życia, gdy siódmego lipca, dwa tygodnie temu, zaczęła się powódź, i teraz po prostu stracili też jego sens, czy też wtedy im się udało i uwierzyli w swoje szczęście. Pomyślała o ciele w rzece i o tym, że ona chyba by się zabiła.

Podniosła głowę, kiedy zdała sobie sprawę, że on na nią patrzy. Wnikliwe, przekrwione spojrzenie pełne smutku. Wyglądał, jakby chciał o coś zapytać, i nagle ta opcja wydała jej się przerażająca. Nie chciała usłyszeć jego pytania, dlatego szybko zadała własne. Pierwsze, jakie przyszło jej do głowy:

– Jak on się właściwie nazywał?



I  
**CHŁOPCY  
NA SKRAJU LATA**



Piqtek  
**4 LIPCA 1997**



## JÓZEK

Darek i Józek szli od strony osiedla Konstytucji 3 Maja owianego słodkim zapachem krówek z pobliskiego zakładu Cukrogał, mocnym mimo deszczu. Szli obok siebie niemal równym krokiem środkiem opustoszałej ulicy. Nie rozmawiali, twarze mieli poważne, a miny tak gniewne i zacięte, jakie tylko nastolatki potrafią mieć, i postronny obserwator mógłby odnieść mylne wrażenie, że są na siebie źli.

Na umówionym miejscu między papiernią a nasypem czeskich torów zjawili się kwadrans przed czasem, więc Darek, wyższy z chłopców, stwierdził, że mogą schować się we wraku starego audi. Oczywiście natychmiast zaklepał sobie miejsce kierowcy.

Józek nie zamierzał protestować. Z kuzynem widywał się rzadko, ale wiedział, że to jeden z tych dzieciaków, które lubią stawiać na swoim i strzelać focha, jeśli coś nie idzie po ich myśli. A teraz znajdowali się na jego terenie, Józek miał poznać jego kolegów i zrobić z nimi coś, co jeszcze wczoraj nie wydawało mu się aż tak niebezpieczne i głupie. Tylko że wczoraj był wciąż podekscytowany przyjazdem, świeciło słońce i jadł przepyszne lody cytrynowe. Słowem, wczoraj było lato. Dziś padało, odkąd się obudził.

Zresztą, przekonywał sam siebie, wracając myślami do wraku, co jest atrakcyjnego w siedzeniu za kierownicą przerdze-



wiałego audi bez kół i szyb? Co innego w prawdziwym aucie, które faktycznie prowadzisz, nawet jeśli powoli. Przypomniiał sobie zeszłoroczne wakacje, gdy pojechali z ojcem na stare lotnisko pod Stargardem Szczecińskim. Tata próbował go wtedy posadzić sobie na kolanach, ale się nie mieścili, więc powiedział: „Nie mów mamie”, wysiadł i wyregulował mu fotel. Potem sam zajął miejsce po stronie pasażera, instruował go i tylko trzymał w pogotowiu dłoń na hamulcu ręcznym. Jechali wolno, większość na półsprzęgle, ale i tak co to była za jazda! Po takiej akcji zdezelowany wrak już nie robił na nim żadnego wrażenia.

Co innego na Darku, który z błyskiem w oczach wsunął się do kabiny przez okno. Przeciwdeszczowa peleryna podwinęła mu się i częściowo rozdarła, jednak nic sobie z tego nie robił. Klapnął na siedzenie, a to mlasnęło i puściło wodę jak ściśnięta gąbka.

– Uważaj, jak będziesz wsiadał. Mokre. – Skrzywił się.

Zbędna uwaga, bo po pierwsze, ze względu na pogodę wszystko, z nimi włącznie, było mokre tak, że bardziej się nie dało. Po drugie, Józek uważał już od dłuższej chwili. Przede wszystkim na kałuże, doły i zdradzieckie płataniny chaszczy, od których roilo się na zaniedbanym terenie budowy. Na ile mógł, uważnie obserwował też ubitą, zrytą oponami drogę dojazdową od Andersa, choć przy takiej pogodzie wjechałby tu pewnie tylko wojskowy jeep. Darek co prawda mówił, że nie ma strachu, bo na budowie prawie od roku i tak nic się nie dzieje, a właściciel wyjechał na roboty na zachód, ale Józkowi to nie wystarczało. Kiedyś pewnie wróci, nie? A jeśli to będzie akurat dziś?

Ponownie omiół wzrokiem najpierw drogę, potem nasyp torów i odgradzony płotem teren papierni. Odwrócił się, spojrział na niedokończony budynek i wyżej, na górujące nad da-

chem korony drzew pobliskiego lasku. Westchnął, przecierając mokrą twarz, i jeszcze mocniej uświadomił sobie, jak bardzo nie chce tu być.

– Wsiadasz czy nie? – rzucił zniecierpliwiony Darek.

Nie odpowiedział, ale podszedł ostrożnie od strony pasażera. Wyminął po drodze kilka pogiętych prętów zbrojeniowych, wystających z porzuconego betonowego bloku, i przeskoczył nad przegniłymi pozostałościami starego płotu. Z jednej z desek sterczał zaskakująco prosty, pordzewiały gwóźdź i oczami wyobraźni Józek widział już, jak staje na tym gwoździu, a ten przebija mu stopę i rdza, a wraz z nią tęzec, wnika ją w jego komórki, przybierając postać wrednych ludzików. Jak w tej bajce, którą kiedyś oglądał, a potem nauczycielka pokazała im ją na przyrodzie. Co to był za tytuł? A, *Było sobie życie*.

Złapał za klamkę. Szarpnął, jednak wiele nie pomogło.

– Przez okno musisz – powiedział Darek, wodząc rękami po kierownicy. Wcześniej próbował majstrować coś przy fotelu, by nie mieć kolan pod samą brodą, ale odpuścił i skupił się na udawaniu, że jedzie, i wyglądaniu jak niedorozwinięty.

Józek pociągnął nosem.

– W sumie to nie chcę. Kurtki porwać znaczy. – Szarpnął za przemoczony ortalion.

– To zdejmij. Na akcji i tak nie możesz być taki kolorowy. Zobaczą cię z drugiego końca placu.

Józek jeszcze raz pociągnął nosem i otrzepał dłonie z wody. Kiedyś, uznał, będzie musiał podjąć ten temat.

– Ja w sumie to nie wiem też, czy chcę na tę całą akcję. Jeszcze nie zdecydowałem – stwierdził tym swoim prawie już dorosłym głosem. Miał dopiero trzynaście lat, ale mutację przeszedł jak szczęściarz ospę: bardzo wcześnie, bardzo szybko i bez powikłań. Teraz mówił nisko, jakby się wygłupiał, udając własnego ojca. Raz tak rzeczywiście zrobił. Zadzwonił

do wujka Mirka, kolegi taty, podszywając się pod rodzica. Znamy się nabrał... I tak właśnie Józek się dowiedział. Obiecał jednak wujkowi, że nie zdradzi się z tym przed mamą.

Zorientował się, że kuzyn przygląda mu się, mrużąc oczy, co wyglądało trochę komicznie, bo nie wiedzieć czemu Darek ostrzygł się na krótko i teraz jego głowa przypominała jajko.

Jak w tej głupiej komedii, *Słózkogłowi*, przypomniał sobie Józek, mało nie parszając. Udał, że wyciera nos pięścią, ale zamiast tego ugryzł się, by się nie roześmiać.

– Co znaczy: nie wiesz, czy chcesz na akcję? – zapytał Darek. – Wczoraj chciałeś, a teraz nie chcesz?! Kurwa, zaraz będą chłopaki!

Józek wzruszył ramionami.

– Nie mówiłem, że chcę. Ja tylko... nie wiem, czy to ma w ogóle sens – stwierdził, siląc się na obojętny ton. – Wszystko mokre będzie. Wodą zajdzie, napuchnie...

– Nie wszystko. Kacper mówi, że dzisiaj nie idziemy na hałdy na zewnątrz, tylko do magazynu, pod dach. O tam. – Darek podniósł się na siedzeniu, jednak zaraz oklapł, znów wyciskając wodę z fotela. – A nie, stąd nie zobaczysz, bo drzewa. Ale pokażę ci, jak przyjdą... O, idą!

Józek dostrzegł najpierw tylko ich głowy wylaniające się zza nasypu, całe sylwetki pokazały się dopiero po chwili. Chłopacy wstąpili na tory i szli między szynami, drobiąc na podkładach.

Darek opisał ich kuzynowi zawczasu, toteż Józek bez trudu domyślił się, że ten z przodu, drobny, żyłasty piegus o cofniętym podbródku i z odstającymi uszami to Grzesiek, ich rówieśnik. Mocno przeczulony na punkcie swojego wyglądu, przy każdej choćby sugestii kpiny dostawał świra. „A jak Grzesiek świruje – tłumaczył Darek – to nie ma znaczenia, że jesteś silniejszy, szybszy czy napieprzasz w karate jak Chuck Norris

czy inny Van Damme. Bo jak Grzechu szaleje, to jebaniec nie czuje bólu. Po prostu bije”.

Józek dowiedział się też, że ojciec piegusa miał wypadek i stracił wzrok. I to był drugi temat, za który w przypadku nierozważnie dobranych słów mikrus rzucał się do gardła.

Za Grześkiem z ociężałą dostojnością sunął starszy o rok Kacper. W spranej katanie z czarnego dżinsu narzuconej na bluzę i z kapturem na głowie wyglądał co najmniej na szesnastolatka. Masywny, prawie gruby, z ciemnymi włosami w tej upokarzającej dla każdego metala fazie zapuszczania. Teraz pasma lepiły mu się do połowy twarzy, co z daleka przypominało maskę.

A maska w sumie nie byłaby takim złym pomysłem, pomyślał Józek, zważywszy na to, co planowali.

Darek wygramolił się z wraku, zostawiając na drzwiach kawałek foliowej peleryny. Źle stanął, zatoczył się, podjął desperacką próbę zachowania godności, po czym walnął dupą o ziemię.

– Kurwa! – zaklął, wyciągając stopę zakleszczoną między betonowym słupkiem a stosikiem połamanych cegieł.

– W porządku? – Józek odwrócił się w jego stronę, a przez głowę przebiegła mu myśl, że może nie. Może coś sobie uszkodził, kostkę na przykład, i wtedy...

– Tak, luz. – Darek podniósł się, wspierając o wrak. Zamachał obutą w tramppek stopą, upewniając się, że rzeczywiście luz, i lekko utykając, podszedł do kuzyna.

Ten przyjrzał mu się badawczo.

– Jesteś pewien? Bo jeśli skręciłeś kostkę, to...

– Kuźwa, Józwa, ja pierdzielę! Nie rób scen i wstydu! Jak miałeś wąty, trzeba było wczoraj mówić. Teraz to morda w kubel. Idziemy!

Zeszli na nasyp po niewielkim zboczku ostrożnie, jeden za drugim, wydeptaną ścieżką. Mokra ziemia była śliska, jednak

w przeciwieństwie do trawy stawiała jako taki opór, a poza tym większe kamienie mogły służyć za prowizoryczne schody. Co prawda zdradzieckie, bo w każdej chwili mogły wysunąć się z ziemi, ale ponieważ obaj chłopcy uważali, dali radę zejść na tory bez zaliczenia gleby.

Tamci już na nich czekali. Grzesiek stał kilka kroków od Kacpra, który dopalał właśnie posiniałego od deszczu papierosa.

– Co tam, Grzesiu, stoisz od zawietrznej, by stary nie poczuł fajek? – zagadnął Darek, ale widząc minę piegusa, jego zaciskające się pięści, zaraz się zmytygował. Pociągnął nosem, charknął i splunął, wreszcie podniósł rękę, by spojrzeć na swój wodoodporny casio. – Spóźniliście się.

Kacper zaciągnął się po raz ostatni, wypuścił dym i pstryknął niedopałkiem w mokrą trawę. Nonszalancja, z jaką to zrobił, dodała mu tym razem nie dwa, a co najmniej dziesięć lat. Zupełnie jakby był dorosłym uwięzionym w ciele czternastolatka.

Jak w tym filmie, przypomniał sobie Józek. Widział go, ale nie pamiętał tytułu. W ogóle niewiele z niego pamiętał. Tylko to, że grał tam chłopak z *Cudownych lat*.

Wytarł rękę o spodnie i wyciągnął ją do Kacpra.

– Cześć. Józek – przedstawił się, nie czekając, aż zrobi to za niego kuzyn.

Ten nie kłopotał się wycieraniem swojej. Uścisk miał mocny, pewny, nieco sztywny.

– Kacper – odparł, po czym przeniósł wzrok na Darka. – Jesteś go pewien, tak?

Darek zawahał się.

– Mówiłem ci – mruknął w końcu. – To rodzina.

– Okej. Wiesz, co tu robimy, Józek?

– Tak. Kradniecie komiksy i inne takie.

Kacper wyszczerzył się.

– Kradniemy? Bzdura! My je ratujemy. Co miesiąc to, co nie sprzeda się w kioskach, idzie na przemiał i robią tu z tego srajtaśmę. Czujesz? Superman, Batman, auta, gołe baby, komputery, wszystko do maszyn i podcierania dupy. Trochę szkoda, nie?

Józek zerknął na Darka.

– No, szkoda – przyznał.

Otarł wodę z twarzy, by kupić sobie kilka dodatkowych sekund. Wiedział, że jeśli ma się wycofać, to jest właśnie ta ostatnia chwila.

– Co będzie, jak nas złapią? – zapytał.

Usłyszał ostrzegawcze syknięcie kuzyna, ale było już za późno. Kacper parsknął i odgarnął włosy z twarzy.

– Nie będę ci kłamał, chłopie – powiedział, szczerząc krzywe, pożółkłe zęby. – Słyszałem, że dyrekcja wyznaczyła dla pracowników premię za łapanie takich jak my. Jesteśmy wyjęci spod prawa. Jak *Drużyna A*.

Grzesiek parsknął, Darek zachichotał nerwowo. Józek tylko zamrugnął, by strącić z powiek ciężkie krople.

– Ale wiesz co? Ty jeszcze nie jesteś gotowy – dodał po namyśle Kacper. – Prosta sprawa, żaden wstyd. Przyjechałeś wczoraj, nie?

– Tak.

– I zostajesz do końca wakacji?

Józek po raz kolejny potwierdził, przy okazji odkrywając, jak ciężko mu to przyznać. Jakby dopiero w tym momencie dotarło do niego, że oto czekają go całe dwa miesiące bez jego miejsc i kumpli z chorzowskiego Irysa. Był skazany na tych trzech tutaj albo na szukanie kogoś na własną rękę w tej małej i w gruncie rzeczy raczej nudnej mieścinie w środku lasu.

– Skoro tak, to jeszcze będzie okazja za miesiąc – stwierdził Kacper. – Zgramy się, poznamy i wtedy pójdiesz już na pewniaka. A dziś zostaniesz, potrzymasz nasze rzeczy i w razie czego spierdalasz na Grzybek.

Józek chciał zapytać, co to jest Grzybek, ale po krótkim namyśle zdecydował się na inne pytanie.

– W razie czego?

Zerwał się wiatr, zaszumiały drzewa i jak na komendę deszcz przybrał na sile. Ciął teraz z ukosa, a na rosnących wokół kałużach pojawiły się bąble.

– Może my też odpuścimy? – zapytał nagle Darek. – Znaczy dzisiaj. Tam ślisko jest, łatwo się wyjechać.

Kacper wzruszył ramionami.

– Chcesz, to odpuszczaj – mruknął, zrzucając z głowy kaptur. Z tylnej kieszeni wyjął czarną frotową opaskę i nałożył ją na włosy, co upodobiło go do jednego z tych znanych, śmiesznie wyglądających tenisistów, Józek nie pamiętał którego.

– Rzecz w tym, że właśnie dzisiaj najlepiej. – Kacper zdjął dzinsową katanę, odsłaniając ukryty pod spodem niewielki, wyłożony folią plecak. – Jak jest słoneczny dzień, wszyscy łążą po placu, każdy liczy na premię i pilnuje hałd. A jak leje, to nikomu się nie chce. Ani na szabry, ani czuwać. Do hali też nikt nie chodzi, bo na dymka nie wolno, a tak to po co? – Podał Józkowi katanę. – Trzymaj. Wziąć ci coś?

– Pornola mu węz, niech jakąś cipkę chłopak zobaczy! – Zaśmiał się Grzesiek. – Tylko żeby z lusterkiem nie pomylił, skoro taka pizda.

Józek zgrzytnął zębami i tym razem nawet nie zerknął na Darka. Wystarczyło mu, że słyszy za uchem jego śmiech, by wiedzieć, że kuzyn nie jest po jego stronie.

– A mają w którymś modele do składania, byś mógł staremu pokazać? – odciął się i od razu cofnął nogę, gotów do uniku.

Dobrze przewidział reakcję piegusa, spóźnił się jednak o sekundę i zaciśnięta pięść zdążyła go trafić w płatek ucha. Lekko, właściwie nawet nie zabolowało, ale Grzesiek nagle znalazł się za blisko, by Józek mógł mu swobodnie oddać prawą ręką. Uniósł więc lewą, złapał go za koszulkę, odchylił się i grzmotnął z główki. Tu również źle wymierzył, tym razem odległość, bo Piegus był od niego niższy, a dodatkowo wcisnął głowę w ramiona. Zamiast trafić czołem w nos, jak mu pokazywali starsi koledzy na podwórku, Józek grzmotnął czołem o czoło. Zabolowało, a przed oczami pojawiły się mu czarne plamy. Ale przynajmniej Grzesiek, zamroczony mocniej, klapnął na ziemię.

Józek sprawdził nos wierzchem palca wskazującego i strzyknął śliną na bok.

– Lepiej nie wstawaj – warknął.

Mimo tego ostrzeżenia – a może właśnie nim sprowokowany – Grzesiek poderwał się, wytarł ręce w ubłocone spodnie i byłby się znowu rzucił, gdyby nie powstrzymał go Kacper.

– Nie ma czasu – powiedział, kładąc piegusowi rękę na ramieniu. – Poza tym myślę, że jesteście kwita. A ty, Józek, pamiętaj, starych nie ruszamy, bo świętość, jasne?

Józek skinął głową.

– To każdy daje nowemu, czego nie zabiera, i idziemy. Nie ma czasu.

Od Darka Józek dostał potarganą pelerynę, od Grześka propozycję, by się walił. Potem tamci ruszyli ścieżką wzdłuż nasypu.

– Batmana bym chciał! – zawołał za nimi.

Kacper się nie odwrócił, uniósł jednak kciuk na znak, że usłyszał.

Józek patrzył za nimi, jak wspinają się na rury ciepłownicze, przeciskają przez dziury w płocie i nikną między drze-



wami. Potem wydało mu się jeszcze, że widzi ubłoconą dupę Grzeška, gdy ten wspina się na drabinkę zdezelowanego, odstawionego na boczny tor wagonu.

Rozmasował czoło, na którym, czuł to wyraźnie, rosła już solidna pulsująca śliwa. Deszcz działał na nią kojąco, więc zadarł głowę i w tej pozycji zdał sobie sprawę, że w końcu zapomniał zapytać o ten cały Grzybek.

## KACPER

Przechodząc na drugą stronę, zawsze zostawiał za płotem całą pewność siebie. Jakby ktoś przełączał w nim pstryczek do zmiany nastroju. W jednej chwili odważny i zdeterminowany, ale gdy przeciskał się przez dziurę, w jego świadomości budził się ten przeklęty, tchórzliwy, wewnętrzny głosik mówiący: teraz ci się nie uda. Wyczerpałeś już limit szczęścia. Dorwą cię jak wtedy i znowu skończy się na tym, że przez cały pobyt ojca w kraju będą awantury i ciche dni, a matka będzie się wstydziła pokazać w szkole. No i gliny. Tym razem raczej nikt nie da mu kolejnej szansy.

– Pieprzyć to – mruknął, dodając sobie odwagi. Część jego chciała, by zawrócił, mówiła mu, że jeszcze może, że jeszcze ma szansę. – Pieprzyć – powtórzył Kacper nieco głośniej i kątem oka dostrzegł Darka, który zerknął na niego i skinął głową.

I nagle poczuł uderzenie adrenaliny. W kolejnych sekundach obraz się rozjaśnił, rozmywając na krawędziach. Albo serce mu przyspieszyło, albo świat wokół zwolnił, w ustach zrobiło mu się sucho, a na języku poczuł metaliczny posmak. Zsunął się ze zbocza i już był przy wagonie, drżąca ręka sama zacisnęła się na uchwycie obok wejścia, stopa wylądowała na schodku. A wszystko przy akompaniamencie tych samych histerycznych myśli: złamiesz serce matce, ojciec dostanie świra, pójdziesz do poprawczaka...

– Pierdolić – mruknął, ale wystraszył się, że za głośno. Przez szum, jakby radia na niedostrojonym kanale, przedierały się pojedyncze słowa: matka, serce, poprawczak, odpuść.

Spojrzał na budynki papierni, na gmachy biurowe oraz hale fabryczne po prawej i magazynowe po lewej i na wprost. Na suwnicę, na którą kiedyś próbował się wspiąć, jednak zabrakło mu odwagi. Nigdy nie widział, by pracowała, ale chyba musiała, skoro dopiero co ją odmalowali, nie? Mimo to tory porastało zielsko.

– Idziemy – powtórzył i ruszył, nie czekając na resztę.

Przed nim rozciągało się jakieś dwieście metrów niemal całkowicie odkrytego terenu. Tu i tam tylko jakiś pagórek, wgłębienie, kępa krzaków, wąski rów nazwany kiedyś przez kogoś okopem. Od niego zostało już pół drogi do papierowych hałd, można się w nim ukryć, przyczaić, tylko trudno zgrabnie i niezauważalnie pokonać ostatni odcinek, zwłaszcza komuś większemu niż Grzesiek. Dlatego od jakiegoś czasu Kacper omijał okop i pędził zgarbiony jak pod ostrzałem prosto do ściany magazynu. Jasne, nadkładał drogi, ale przynajmniej miał tam na pół zrujnowaną budkę, coś na kształt komórki, cholera wie po co i na co. Dobre miejsce na odpoczynek lub kryjówkę.

Tym razem też wybrał drogę naokoło. Skulił się i pognał, licząc, że wzmagający wiatr i deszcz zagłuszą mlaskanie podszew o błoto. Gdy dopadł do budki, osunął się po ceglanej, częściowo otynkowanej ścianie, przywarł do niej plecami i dysząc ciężko, zrobił szybki rachunek sumienia: raz się pośliznął, ale złapał równowagę i nie upadł, tylko wsparł na ręce. Piekła, więc możliwe, że ją rozciął, w błocie nie było widać. Raz wydawało mu się, że kogoś widzi przy hałdach, jakiegoś pracownika, jednak to mogło być tylko wrażenie. Kątem oka dostrzegł natomiast, jak Darek wślizguje się do okopu.

Połowa drogi, pomyślał, a głosy w jego głowie natychmiast podjęły, że owszem, to połowa, ale tylko jeśli teraz zawróci. W przeciwnym wypadku to wyłącznie jedna czwarta, w dodatku ta najłatwiejsza.

– Pieprzyć to – mruknął. – Pieprzyć to, pieprzyć!

Podniósł się ostrożnie, stanął przy krawędzi i wyjrzał. Droga wolna, więc uniósł rękę, dając znać chłopakom w okopie, że rusza.

Teraz oby do hałdy, oby w ten cały stos pisemek dla kobiet, opowiadek z życia wziętych, siermiężnie szarych „Detektywów”, śliskich okładek magazynów motoryzacyjnych, pociesznych „Misiów” i „Świerszczyków” oraz cycków i włochatych picz wywalonych na rozkładówkach. Nie wiedzieć czemu wszystkie te „Catsy”, „Nowe Wampy” i niewinne w porównaniu do tych dwóch „Twoje Weekendy” zawsze otwierały się na najostrzejszych fotach. Jakby wszystkie pornomodelki wypinały się lub wystawiały do słońca. Albo do dzieciaków takich jak on.

Nie wyhamował, pośliznął się na „Chipie” i wpadł na stertę. Lawina gazetek osunęła się, przykrywając go niemal w całości. Kacper zamarł, rozcapierzając palce, rozpląszczony jak alpinista na ścianie przy mocnym wietrze. Nie spanikował, ani na zewnątrz, ani w środku, w głowie, w której oprócz szumu i łomotu serca pojawiło się kilka spokojnych, rzeczowych pytań: ktoś usłyszał? Ktoś przyjdzie? Nakryją go?

Nikt się nie zjawił. Kacper podniósł się powoli, odwrócił plecami do stosu i zaczął sunąć tyłkiem po gazetach, w lewo. Teraz miał przed sobą zdezelowane wagony na bocznych torach i rosnące za nimi drzewa, potem dziurawy płot. Za nim zostawił spokój i pewność siebie.

Pewnie tam leżą, pomyślał w nagłym przypiływie rozbawienia, leżą w murowanej studziencie, pod stosem pofałdowanych od wilgoci pism dla kobiet.

Sunął tak po łuku, aż trafił w wąwóz pomiędzy dwiema hałdami. Tam stał już Grzesiek, jakby na niego czekał.

– No idź, co tak stoisz?

Ale już dostrzegł, w czym problem. Grzesiek cały drżał, a jego cofnięty podbródek dygotał, jakby coś mu się tam w buzi urwało.

– W głowie mi się kręci – powiedział, szcękając zębami. – To chyba po tym uderzeniu. Mocno mnie jebnął.

Kacper skinął głową, choć nie wierzył. Grzeska zwyczajnie obleciał strach, bo zwykle kończył akcję tutaj, jak wszyscy kradł gazety z hałd. Do budynku nie wszedł chyba jeszcze nigdy.

– Gdzie Darek? – zapytał.

Grzesiek wskazał brodą magazyn bez drzwi. To właśnie tam znajdował się stos, do którego zmierzali. Suchy, świeży i nieprzebrany. Skarb tej wyprawy. Eldorado.

– Dobra, to idę do niego – powiedział Kacper i powoli ruszył dalej.

– Weź mi Spider-Mana, jak będzie nowy, dobra? – Głos Grzeska, rozedrgany, strachliwie wysoki, z miejsca napełnił Kacpra obrzydzeniem. – I „Twój Weekend”.

– Pieprz się – szepnął Kacper w odpowiedzi, ale z litości na tyle cicho, by piegus go nie usłyszał. Ostrożnie podszedł najpierw do ściany, przystanął, zerknął i dopiero wtedy wkroczył do hali.

Szum w uszach jakby się oddalił i dopiero po kilku sekundach do Kacpra dotarło, że przez całą drogę towarzyszył mu szelest wszechobecnego deszczu, teraz bębniącego o wyłożony papą dach.

W środku panował półmrok, unosił się zapach mokrego papieru, jednak to, co leżało na zajmującym całe pomieszczenie stosie, nie było mokre. Kacper szybko zdjął plecak, ubłocnymi rękami wyjął z bocznej kieszonki najpierw chusteczkę,

a następnie listę zakupów. Przeczytał ją szybko, właściwie bardziej powiódł wzrokiem, by upewnić się, że wszystko pamięta, po czym zaczął szukać.

Szło łatwo, więc pozwolił sobie na luksus bycia wybrednym. Tu pogięty numer, tam lekko naderwana okładka... Tak jak przypuszczał, musieli dopiero co dowieźć towar, wczoraj albo przedwczoraj, kiedy jeszcze nie padało, bo na większości komiksów w rogu pod logo wydawcy widniał numer 6/97.

Przypomniał sobie o Batmanie dla nowego, więc wziął dodatkowy egzemplarz, oprócz tego dla siebie. Na okładce pokracyjny demon z głową prawdziwego nietoperza i w bojowej pozie, przed nim jakiś rozwalony typek, a za nim wojownicza. Nad napisem „Batman” jeszcze jeden: „Knightsend”, zapowiadający, że tocząca się od wielu numerów saga o złamaniu i odrodzeniu Mrocznego Rycerza wreszcie ma się ku końcowi.

Spakował obydwie zeszyty, po czym dołożył trzeci, a niech mu tam, znalazł zamówienie Grzeška. Zapiął plecak i już miał się zbierać, gdy nagle usłyszał:

– Ej, ty tam!

Zamarł. Darek stojący na szczycie stosu zachwiał się i poleciał do tyłu, machając odruchowo rękami. Od ściany z pustaków dzieliła go niewielka odległość i Kacper był pewien, że jeśli jego kumpel teraz w nią przydzwoni, na bank straci przytomność. A może skończy się jeszcze gorzej?

Spanikowane myśli dopadły Kacpra chmarą, przedstawiając najczarniejsze scenariusze, ale nim zdążyły wybrzmieć, Darek już upadł głową w gazety, przetoczył się i zerwał gotowy do skoku. W dłoni trzymał upuszczoną wcześniej reklamówkę. Reklamówkę wziął, kurwa, jak skończony debil!

– Do ciebie mówię, chodź no tu! – rozległo się głośniejsze, ostrzej i Kacper już wiedział, że to nie do nich dwóch. Ktoś przyuważył Grzeška.

Czym prędzej doskoczył do muru, zerknął zza winkła i zobaczył gnającego przez otwartą przestrzeń kumpla, a za nim faceta w niebieskim fartuchu.

Gdyby chociaż był grubasem, pomyślał Kacper, jak wielu w tym zakładzie, albo miał gorszą kondycję. Ale nie, facet był normalnej budowy, a długie nogi pozwalały mu z każdym krokiem zmniejszać dystans. W tej sytuacji Grzesiek mógł dotrzeć jedynie do okopu. O ile da radę przeskoczyć go w tym błocie i o ile...

– Co się dzieje? – zapytał Darek, ale Kacper, tchnięty nagłą myślą, nie odpowiedział, tylko rzucił się przed siebie, nakładając po drodze plecak. W wąwozie między hałdami nabrawł rozpędu, więc gdy wpadł na odkryty teren, gnał już najszybciej, jak w tych warunkach się dało. Jakimś cudem ani się nie potknął, ani nie wylądował w kałuży, przeskoczył nad połamanymi cegłami. Facet z papierni nie obejrzał się, pewnie nie usłyszał w tym deszczu, na przemian to wyklinał, to nawoływał Grześka. Już prawie go zresztą miał, dzieliła ich może podwójna długość ręki. A przecież Grzesiek musiał jeszcze wspiąć się na wagon albo go obiec. Bez szans!

Pierwszy z dwóch torów suwnicy Kacper pokonał jednym susem. Drugim skokiem, parę metrów dalej, wziął okop. Łądując, upadł, na szczęście do przodu, wsparł się na rękach, po czym poderwał się i popędził.

Czuł, że pali go w płucach, że wali mu serce, przed oczami miał mroczki, ale mimo to, gdy był już blisko, spiął się, znalazł oparcie dla stóp i skoczył.

Wylądował facetowi na plecach, a resztę zrobiła siła pędu, błoto i grawitacja. Człowiek poleciał do przodu, potknął się, wyrznął twarzą o szynę drugiego toru suwnicy i zamarł. Kacper podniósł się, zatoczył i wbrew rozsądkowi na moment przystanął, patrząc na znieruchomiącego mężczyznę. Na wi-

dok jego zamkniętych oczu i krwi płynącej z ust i nosa zrobiło mu się w jednej chwili gorąco, słabo i niedobrze.

Jezus, Maria, pomyślał, czując, jak uginają się pod nim nogi. Zabiłem go! Zabiłem!

Ktoś złapał go za rękę i zaczął ciągnąć, jednak on nie potrafił się ruszyć.

– Kurwa, chodź, chodź! – Dotarło do jego uszu jakby spod wody. Czy też odwrotnie, to on był pod wodą, topił się, zapadał, a ktoś krzyczał do niego z brzegu.

Usłyszał głośny plask i bolesny gorąc rozlał się po jego policzku. Kacper potrząsnął głową i zrobił jeden, potem drugi krok do tyłu. Dopiero gdy zobaczył, że facet się ocknął i powoli zaczął podnosić, znalazł w sobie siłę, by się odwrócić. Złapał za uchwyt wagonu. Darek wyciągnął do niego rękę.

Przebiegli przez wagon i w pośpiechu, osuwając się dwa razy, wspięli się na zbocze. Darek przecisnął się przez dziurę, Grzesiek już czekał po drugiej stronie. Kacper złapał za siatkę, rozgiął ją i zanim przeszedł, jeszcze raz się obejrzał. Przez wagon, na przestrzał ujrzał, jak facet siedzi i maca się po rozkwaszonej twarzy. Z jakiegoś powodu wydało mu się to nagle nie straszne, a bardzo, bardzo śmieszne.

Potrzebował chwili, by zrozumieć, skąd ta zmiana. Znowu był po drugiej stronie siatki.



Pod koniec lipca 1997 roku żołnierze, którzy przybyli na pomoc powodziarzom, dokonują makabrycznego znaleziska. Na ułamany, zanurzony w korycie wciąż wezbranej rzeki drzewie wiszą zwłoki nastolatka poszukiwanego od blisko dwóch tygodni.

Niespełna miesiąc wcześniej dla czwórki młodych chłopaków rozpoczynają się wakacje. Zupełnie nie przeszkadza im, że dni skąpane są w strugach deszczu, a meteorolodzy alarmują o zagrożeniu powodziowym. Są pewni, że to będzie ich lato.

Trzy dni później właśnie w Głuchołazach, maleńkiej miejscinie przy polsko-czeskiej granicy, rozpoczyna się katastrofa zapamiętana jako Powódź Stulecia. To ona i wywołana nią lawina zdarzeń doprowadzi chłopców najpierw do wyjątkowego odkrycia, a następnie do śmierci jednego z nich.

Którego?

Thriller obyczajowy i porywająca – a momentami przerażająca – opowieść o przyspieszonym kursie dojrzewania, rozliczająca się zarazem z nostalgią za latami 90. Zaskakująca mieszanka serialu *Stranger Things* i *To* Stephena Kinga.

w sprzedaży także

eBOOK

cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

 lubimyczytać.pl

 CZYTAMY  
KRYMINALY.PL

 SMAKSIAŻKI.PL

PORTAL  
KRYMINALNY

POCISK  
PROJEKT PRZEKŁADU I WYDAWCTWA

PL  
KINOPOLSKA